

Rozdział 1

Świtało, choć nie było widać świtu. Mgła tylko z granatowoburej zrobiła się nieco bledsza. Na dobrą sprawę pewność czasu dawał tylko zegarek. W ciągu ostatnich tygodni Hieronim tyle razy przemierzył te ścieżki, że nie potrzebował już światła. Przeszkadzało w uporządkowaniu samego siebie. Pomyślał, że może to wreszcie dziś, i tak jak w poprzednich dniach nie był pewien, czy rzeczywiście cieszy go ta ewentualna dzisiejsza perspektywa. Z jednej strony radosna nadzieja, że jeśli rzeczywiście dziś, to skończy się wreszcie wyczekiwanie i za kilkanaście godzin spełnią się jego marzenia. Z drugiej ponury lęk, czy to wszystko jest możliwe? Czy może się udać? Czy porzucanie bezpiecznej Anglii ma sens? Czy rzeczywiście tam tak bardzo go potrzebują? A może to nieuczciwe, może to on bardziej potrzebuje Polski niż ona jego?

Bo czymże dla Hieronima była właściwie Polska? Alicją, która obiecała czekać, niepowtarzalnym matczynym ciepłem, ulicami Tarnobrzega; kolegami, z którymi śnił sen o przeszłości i mogiłą brata poległego w bolszewickiej wojnie, tego samego, o którego miejsce w sercu matki zawsze walczył; polami pachnącymi tak, jak, teraz już to wie, nie pachną pola w żadnym innym kraju; mgłą poranną zapowiadającą słońce; obowiązkiem umierania za ojczyznę. Czy jestem bohaterem? – zapytał sam siebie. Bzdura. Nikt nic rodzi się bohaterem, odpowiedział. Mgła podnosiła się z wolna. Przystanął. Na co mi to wszystko? Przecież tu też świeci słońce, rosną drzewa, żyją ludzie. Tu też walczą za Kraj. Długo spoglądał na mokrą trawę, dzikie wino splecione wokół domu, drzewa i majaczące w oddali pola. To jednak nie jest to, rzekł półgłosem i zdecydowanym już krokiem skierował się do budynku. Jak codziennie od kilku już tygodni, znów był na siebie zły za te poranne mazgajstwa. Zazdrościł kolegom, którzy snem sprawiedliwych spali do śniadania. On budził się zawsze przed świtem. Coś wyganiało go z domu. Włóczył się po parku. Myślał i gadał do siebie. To przez tę cholerną mgłę. Jak można żyć w takim kraju, usprawiedliwił się ostatecznie.

Zaczął kolejny dzień wyczekiwania. Śniadanie, a potem rutynowa, codzienna czynność sprawdzania, czy wszystko jest gotowe do drogi. Z utrzymaną w ręku listą przekładał ubranie: płaszcz, buty, sweter, czapka, szalik, dwie koszule, dwie pary ciepłych kalesonów, trzy pary skarpetek, trzy chustki do nosa, rękawiczki, ręcznik, teczka, podwiązki, pasek, dwa krawaty, dokumenty, niemieckie papierosy, niemieckie golarki, pieniądze, kombinezon, hełm z okularami, dwa bandaże, wkładki do butów, dwa automatyczne pistolety, amunicja, saperska łopatką, latarka, kompas, alkohol, apteczka, podgumowane płótno. Wszystko było na swoim miejscu. Robił to każdego ranka, mimo iż wiedział, że stan jego wyposażenia jest w doskonałym porządku. Rozkazy lotów odczytywane były zawsze przy południowym posiłku.

Rozdział 2

Sołtys z Matczyna zaprzęgał właśnie konie. Ciemne chmury zapowiadały deszcz. Może to i lepiej, że wypadło mi dziś do Bełżyc, w polu pewnie nic po mnie, pomyślał siadając na furmankę, gdy od drogi dobiegł go tętent koni. Za chwilę na podwórze wjechał Rolla ze Stasina, w konspiracji „Maks”, komendant placówki AK z sąsiedniej wsi.

– Baśka w domu? – rzucił z wozu.

– W domu – odrzekł sołtys.

– Dawajcie ją zaraz, sołtysie, pilna potrzeba do Podola – mruknął przybyły.

Sołtys Nagnajewicz bez słowa wszedł do mieszkania.

– Basiu, ubieraj się, muszę zawieźć cię do Podola. Rolla po ciebie przyjechał – powiedział miękko do córki.

– Chwilę tatusiu, zaraz będę gotowa.

„Maks” pojechał w swoją stronę. Sołtys Nagnajewicz znów wioził swą dwudziestoletnią córkę na pomoc rannemu partyzantowi. Wolał jechać z nią sam niż oddawać dziecko w nieznaną. W nieznaną? To przecież on wciągnął ją do konspiracji. Teraz już nie ma odwrotu, ale gdyby zginęła, nigdy nie wybaczyłby sobie własnej głupoty. Obrała pseudonim „Seniora”, ale jaka tam z niej seniora. Drobną, małą, z warkoczem. Co mu strzeliło do głowy, by ją wciągać w wojnę? Wojna to nie dziewczynska rzecz. Trwała już pełne cztery lata. Zaczął się piąty rok i tylko jeden Pan Bóg wie, kiedy się skończy.

Wkrótce znaleźli się w jednej z chałup Podola. Basia pochyliła się nad bladym, półprzytomnym chłopakiem.

– Postrzał w brzuch. Nic nie poradzę, tu trzeba lekarza – orzekła.

– Ona ma rację. Chłopaka trzeba natychmiast zawieźć do szpitala. Pojedziesz z nim „Seniora” – potwierdził diagnozę dziewczyny sprowadzony z Bełżyc doktor Wójtowicz.

– Ciężko rannych zostawiamy u szarytek w Lublinie, na oddziale ocznym. Pojedziesz, odszukasz siostrę Prezepię, podasz hasło i zostawisz „Błyskawicę”. Ty jedziesz tam pierwszy raz, siostry cię nie znają, ale jeśli nie pomylisz hasła, uratujesz chłopakowi życie. Niemcom mów, że wiesz chorego na tyfus. Jesteś dzielną dziewczyną, wszystko musi się udać. Tylko coś ty za pseudonim sobie wymyśliła? Jaka tam z ciebie „Seniora”, dziecko – doktor pogłaskał ją po głowie. – Nie mogłabyś być zwyczajnie, „Krysią” na przykład? – dodał.

– Tak jest, panie doktorze! Będę „Krysią”, rozkaz wypełnię! – wyprężyła się sanitariuszka i zasalutowała do jasnych loków.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem, choć tak naprawdę nikomu nie było do śmiechu. Bo oni, silni, zostawali w domu, a obowiązek wykonania trudnego zadania spadał na barki kruchej dziewczyny, dziecka jeszcze. Czy zobaczą ją żywą? Gospodarz wymościł furmankę słomą, ułożono półprzytomnego „Błyskawicę”.

– Czas na ciebie, Basiu – powiedział cicho ojciec.

Wziął córkę na rękę, posadził koło rannego, otulił pledem i nieznacznym ruchem uczynił znak krzyża na jej czole.

– Niech cię Bóg prowadzi, dziecińco – szepnął, z całej siły próbując zapanować nad łzami. Świsnął bat. Podcięte konie ruszyły kłusem. Ranny zaczął jęczeć.

– Niech pan stanie, zrobię mu morfinę. Będzie mniej cierpiał i nie zdradzi nas przed Niemcami – Basia, świeżo upieczona sanitariuszka „Krysia” przejęła dowodzenie. Stanęli pod drzewami.

Droga ciągnęła się w nieskończoność. „Krysia” spoglądała na chorego. Żył wciąż, tylko taki był blady... Czy zdąży? Wreszcie zobaczyli rogatki Lublina. Siąpił drobny deszcz. Sylwetki Niemców ubranych w peleryny majaczyły złowrogo na posterunku.

– No, panienko, w Imię Ojca i Syna... – szepnął woźnica podcinając konia.

Krysia zebrała całą swoją odwagę.

– Halt! – usłyszała po chwili.

Przy furmance stało dwóch Niemców. Woźnica podał dokumenty. Jeden z Niemców zajrzał w twarz „Błyskawicy”.

– Ranny na tyfus! – krzyknęła „Krysia” i natychmiast uświadomiła sobie sens własnych słów.

Zamilkła. Niemiec odskoczył jak oparzony.

– Raus! – krzyknął.

Zrozumiał na szczęście tylko to, co miał zrozumieć.

Resztę drogi do szpitala przy ul. Staszica przebyli spokojnie. „Krysia” usiłowała odmawiać „Pod Twoją obronę”. Słowa modlitwy płątały się, umykały. Zachować kamienną twarz, tylko twarz... Szpitalne podwórze. W drzwiach stanęła siostra zakonna. „Krysia” w pierwszym odruchu chciała biec do niej, krzyżeć, że przywiozła... Opanuj się, idiotko, mruknęła do siebie i powoli, majestatycznie zeszła z wozu. Siostra już spostrzegła przybyszów.

– Proszę siostry, gdzie mogłabym znaleźć siostrę Prezepię? Ja w bardzo pilnej sprawie – usłyszała swój spokojny głos.

– Acha, w pilnej sprawie, do siostry Prezepii... Rozumiem, dziecko – odpowiedziała zakonnica znacząco spoglądając na „Błyskawicę”. – Idź do chorego, siostra zaraz do was zejdzie – dodała i zniknęła w drzwiach.

„Krysia” pochyliła się nad rannym chłopakiem.

– Pani do mnie? – usłyszała po chwili.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Zegarmistrz prosi o odebranie budzika. Postrzał w dół brzucha – wyrzuciła z siebie jednym tchem powitanie, hasło i informację o rannym.

– Tak, oczywiście – uśmiechnęła się siostra.

Sanitariusze, nosze i po chwili „Błyskawicy” nie było już na furmance. Wtedy „Krysia” wybuchnęła płaczem.

– Nie trzeba, nie trzeba, wszystko będzie dobrze – siostra pogłaskała ją po zapłakanej buzi.

– Ja wiem, siostró, ja tylko tak, z radości, że wszystko się udało... – wyszeptwała przez łzy „Krysia”.

– Panienko, nie czas na mazanie. Trzeba nam co prędzej wracać do domu, żeby zdążyć przed godziną policyjną – niby szorstko powiedział chłop, żołnierz AK z placówki w Podolu.

– Niech będzie Pochwalony, siostró – dodał pomagając „Krysi” wejść na kozioł.

Droga do domu już się nie dłużyła. Woźnica i „Krysia” odprężeni rozmawiali o wszystkim. Śmiali się z rannego na tyfus „Błyskawicy”. Ani się obejrzel, jak dojechali do przejazdu w Motyczu. Krzyk, hałas. Wrzeszczący Niemcy usiłowali rozładować jakiś zator. W pewnym momencie któryś z nich podbiegł do furmanki i zaczął okładać woźnicę batem. Dostało się i „Krysi”. Wtuliła głowę w ramiona, zasłoniła twarz rękami. Nie bała się. To przecież tylko zwykła okupacyjna rzeczywistość. Kilka minut i pędzili już dalej. Tak bardzo chciała pochwalić się ojcu wykonaniem rozkazu.

Czekał na nią w Podolu. Godzinami stał wypatrując na drodze. Zwątpił już, gdy z mroku wyłoniła się furmanka. Po chwili „Krysia” zeskoczyła wprost w ojcowskie ramiona.

– Jesteś wreszcie – powiedział krótko i przytulił ją do siebie. – Pora wracać do domu.